

Regulamin Konkursu „Mowa jest srebrem”

1. Organizatorem konkursu jest Centrum Rozwoju Edukacji Województwa Łódzkiego w Sieradzu Biblioteka Pedagogiczna w Sieradzu, realizowany jest w ramach zadania „Biblioteka pełna atrakcji” z Budżetu Obywatelskiego Województwa Łódzkiego na rok 2026.
2. Celem konkursu jest:
 - rozwijanie zainteresowań czytelniczych młodzieży;
 - kształtowanie umiejętności świadomego i krytycznego odbioru tekstów literackich;
 - zachęcanie uczniów do poznawania dorobku polskiej literatury, piśmiennictwa i kultury;
 - przybliżenie sylwetek i twórczości patronów roku 2026 - Józefa Czapskiego, Jerzego Giedroycia i Sergiusza Piaseckiego;
 - rozwijanie umiejętności interpretowania tekstu oraz dostrzegania jego kontekstów historycznych, kulturowych i społecznych;
 - doskonalenie kompetencji językowych i komunikacyjnych;
 - kształtowanie umiejętności formułowania własnych sądów, opinii i argumentów;
 - rozwijanie zainteresowania językiem jako narzędziem poznawania rzeczywistości i wyrażania własnych wartości;
 - zachęcanie do refleksji nad znaczeniem słowa w życiu jednostki i społeczeństwa;
 - promowanie czytelnictwa jako formy samodzielnego zdobywania wiedzy i rozwijania wrażliwości.
3. Konkurs jest adresowany do uczniów klas VII-VIII szkół podstawowych oraz szkół ponadpodstawowych powiatu sieradzkiego i zduńskowolskiego.
4. Konkurs sprawdza znajomość wybranych tekstów oraz umiejętność ich rozumienia, interpretowania i analizowania.
5. Podstawę Konkursu stanowią wskazane przez Organizatora utwory i teksty autorstwa: Józefa Czapskiego, Jerzego Giedroycia, Sergiusza Piaseckiego.
6. Szczegółowy wykaz tekstów konkursowych stanowi Załącznik nr 1 do Regulaminu.
7. W przebiegu konkursu przewidziane są dwie części – pierwsza – interpretacja wybranego tekstu, druga – krótka wypowiedź na jeden z zaproponowanych tematów, wybranych losowo podczas konkursu (Załącznik nr 2).
8. Podczas konkursu Organizator przewiduje:
 - samodzielną interpretację fragmentów tekstów;
 - przedstawienie krótkiej wypowiedzi na podstawie obszarów tematycznych zawartych w Załączniku nr 2.
9. Interpretacja wybranego utworu/fragmentu utworu nie może przekroczyć 5 minut.
10. Uczestnik podczas Konkursu pracuje samodzielnie.
11. Korzystanie z materiałów pomocniczych, urządzeń elektronicznych, Internetu lub pomocy innych osób jest zabronione, chyba że Organizator postanowi inaczej.
12. Za poprawne wykonanie zadań uczestnik otrzymuje punkty zgodnie z kartą oceny

przygotowaną przez Organizatora.

13. W przypadku uzyskania przez uczestników takiej samej liczby punktów Organizator może przeprowadzić dodatkowe zadanie rozstrzygające.
14. Dla laureatów Organizator ufundował dyplomy i nagrody rzeczowe. Informacja o wynikach konkursu, zostanie zamieszczona na stronie Biblioteki.
15. Zgłoszenia uczniów do udziału w konkursie należy dokonać w terminie 10 listopada 2026r., z wykorzystaniem formularza stanowiącego Załącznik nr 3 do Regulaminu.
Skan wypełnionego formularza zgłoszeniowego należy przesłać drogą elektroniczną na adres e-mail koordynatora konkursu tj. elzbieta.kowalska@bpsieradz.pl, wpisując w tytule wiadomości: „Konkurs Mowa jest srebrem”.
16. Uczestnik konkursu wyraża zgodę na udostępnienie danych osobowych na stronie internetowej CREWŁ w Sieradzu Biblioteki Pedagogicznej i w lokalnej prasie.
17. Dane osobowe uczestników będą wykorzystywane wyłącznie w celu wyłonienia zwycięzcy i przyznania nagrody.
18. Wykładnia niniejszego regulaminu należy do Organizatora. Wszelkie pytania kierować należy na adres: elzbieta.kowalska@bpsieradz.pl, lub pod numerem telefonu 665 729 913

Załącznik nr 1

Wykaz proponowanych tekstów konkursowych

- S. Piasecki, *Kochanek Wielkiej Niedźwiedzicy*, rozdz. VI, Dziekanów Leśny: Wydawnictwo LTW, [2019], s. 53–55.
- S. Piasecki, *Kochanek Wielkiej Niedźwiedzicy*, rozdz. XIII, Dziekanów Leśny: Wydawnictwo LTW, [2019], s. 297–298.
- J. Giedroyc, *Autobiografia na cztery ręce*, rozdz. Rodzina, Warszawa: Czytelnik, 1994, s. 9–10.
- J. Czapski, *Na niehumanitarnej ziemi*, rozdz. VII: Wigilia, Kraków: Wydawnictwo Znak, 2026, s. 130–132.
- J. Czapski, *Na niehumanitarnej ziemi*, rozdz. XVIII: Fortepian Szopena, Kraków: Wydawnictwo Znak, 2026, s. 285–287.
- J. Czapski, *Na niehumanitarnej ziemi*, rozdz. I: Na wolności, Kraków: Wydawnictwo Znak, 2026, s. 57–59.

Załącznik nr 2

Proponowane obszary tematyczne konkursu. Uczestnik ma max 5 min na przedstawienie wypowiedzi na jedno z poniższych zagadnień, wylosowanych losowo.

Hasło „Mowa jest srebrem” może zostać rozwinięte wokół następujących zagadnień:

1. Słowo jako narzędzie sprzeciwu – kiedy wypowiedź staje się formą krytyki rzeczywistości?
2. Słowo i odpowiedzialność – czy autor odpowiada za głoszone poglądy?
3. Milczenie i mowa – kiedy warto mówić, a kiedy milczeć?
4. Literatura jako rozmowa między pokoleniami.
5. Czy słowo rzeczywiście ma moc zmieniania świata?



Załącznik nr 3

**KARTA ZGŁOSZENIA UCZNIA
DO KONKURSU Mowa jest srebrem**

1. Imię (imiona) i nazwisko ucznia.....
2. Klasa
3. Adres e-mail ucznia/rodzica.....

*Oświadczam, że zapoznała(e)m się z Regulaminem Konkursu **Mowa jest srebrem** i akceptuję jego treść oraz wyrażam zgodę na wykorzystanie wizerunku utrwalonego na zdjęciach dokumentujących przebieg konkursu.*

.....
Miejscowość i data

.....
Czytelny podpis uczestnika lub rodzica/opiekuna prawnego

*Wyrażam zgodę na przetwarzanie danych osobowych w celu przeprowadzenia i realizacji Konkursu **Mowa jest srebrem**.*

.....
Miejscowość i data

.....
Czytelny podpis uczestnika lub rodzica/opiekuna prawnego

*Wyrażam zgodę na udział mojego dziecka w Konkursie **Mowa jest srebrem**.*

.....
Miejscowość i data

.....
Czytelny podpis rodzica/opiekuna prawnego



Załącznik nr 4

Do Regulaminu Konkursu *Mowa jest srebrem*

Wykaz tekstów konkursowych dla uczniów klas 7-8 szkół podstawowych oraz uczniów szkół ponadpodstawowych

S. Piasecki, *Kochanek Wielkiej Niedźwiedzicy*, rozdz. VI, Dziekanów Leśny: Wydawnictwo LTW, [2019], s. 53–55.

Od pewnego czasu przyjaźnię się bardzo z Pietrkiem Filozofem. Jest to młody chłopiec lat 19. Ma niezwykle oczy: uważne i poważne. Nie widziałem nigdy, aby Pietrek pił wódkę lub hulał z chłopcami w miasteczku. Owszem, i on pił, lecz robił to „na rozgrzewkę” lub „dla humoru”, ale nie dla zabawy. Nie żartował. Prawie zawsze milczał, nie biorąc udziału w ogólnych rozmowach. Gdy go o coś pytano, odpowiadał wyczerpująco i bardzo poważnie. Dostrzegłem, że nawet w drogę zabiera książki, które czytał, gdy ma czas po temu. Julek Wariat zawsze się trzymał w pobliżu Pietrka i często o czymś rozmawiali. Słyszałem od chłopaków, że Pietrek jest wykształcony i że na pograniczu osiadł w roku 1920, gdy w czasie ofensywy bolszewików na Warszawę zgubił ojca i matkę. Mieszkał wraz z Julkiem Wariatem u pewnego emigranta, Mużańskiego, który tanio i dobrze reperował zegarki, a którego uważano za bzika. Opowiem trochę obszerniej, jak się rozpoczęła moja przyjaźń z Pietrkiem Filozofem. Wspomniałem już o tym, że Józiek Trofida pokazał mi na niebie siedem gwiazd, które kilka razy dopomogły mi odnaleźć drogę za granicę. Przywiązałem się bardzo do nich i zawsze, gdy niebo było bez chmur, patrzyłem na nie i było mi wówczas tak wesoło, jakbym patrzył w oczy najlepszego druha. Natomiast, gdy niebo przesłaniały chmury, odczuwałem smutek. Pewnego razu, w piękną, cichą noc, gdy niebo się skrzyło gwiazdami, zwróciłem się do Wańki Bolszewika, który wypoczywał w pobliżu mnie. Wskazałem mu dokładnie tamte siedem gwiazd. Gdy wreszcie zrozumiał, o które gwiazdy mi idzie, zapytał:

— No, widzę je. Więc co z tego?

— Co one przypominają ci swym wyglądem?

Bolszewik dłuższy czas milczał, patrząc przymrużonymi oczami na niebo. A potem wydał wargi i rzekł:

— Gęś. Tłustą gęś z długą szyją.

Mnie to obraziło. Nagle spostrzegłem, że Bolszewik ma brzydko sterczące uszy, długi, sinawy nos, grube wargi i że jest głupi. Poczułem do niego odrazę. Nie rozmawiałem z nim więcej. Innego razu zadałem to pytanie Felkowi Marudzie. Długo nie mógł się zorientować, o które gwiazdy mi idzie, a gdy wreszcie zrozumiał, rzekł:

— Widzę... Tamten rondel.

Ten mnie zgniewał, jemu zawsze rondle z żarciem na myśli. Zresztą, czy można pytać o gwiazdy ludzi, którzy nigdy na niebo nie patrzą i poza wódką i żarciem nic nie widzą! Przez dłuższy czas miałem chętkę zapytać o te gwiazdy Pietrka Filozofa, który imponował mi swym wyglądem i powagą. Pewnego razu znalazłem dobrą sposobność ku temu i zwróciłem się do niego. Pietrek w lot zrozumiał mnie

i odpowiedział:

— Te gwiazdy mają wspólną nazwę, nazwę konstelacji. Nazywają się Wielki Wóz.

— Wielki Wóz? – powtórzyłem radośnie.

— Tak. Jest jeszcze jedna nazwa, łacińska: Ursa Major.



- Tego nie rozumiem.
- To znaczy: Wielka Niedźwiedzica... i to jest właściwa nazwa konstelacji.
- Wielka Niedźwiedzica! Jak ludzie uczeni mogli dać jej tak śliczne imię? Wielka Niedźwiedzica! – powtarzałem zachwycony.
- Pan interesuje się gwiazdami? – zapytał mnie Pietrek. – Mogę pożyczyć panu kosmografię. Tam przeczyta pan wiele ciekawego o gwiazdach.
- Nie. Nie trzeba – odrzekłem. – Mnie tylko tamte gwiazdy zaciękały.

Od tego czasu zaprzyjaźniłem się z Pietrkiem Filozofem i jego nieodłącznym kompanem, Julkiem Wariatem.

S. Piasecki, *Kochanek Wielkiej Niedźwiedzicy*, rozdz. XIII, Dziekanów Leśny: Wydawnictwo LTW, [2019], s. 297–298.

Pośrodku Krasnosielskiego Lasu, o trzy kilometry od granicy, leży, przecięta na ukos traktem, olbrzymia polana. Z południowej strony znajduje się duży, ciemny, gęsto porośły drzewami wąwóz. Tędy często przekradają się powstańcy, którzy dla skrócenia drogi pośpiesznie przecinają polanę i znikają w gęstwinie krzaków, porastających brzegi wąwozu. Sto kroków od lewego rogu tej polany pewnej nocy wyrósł krzaczek, a za nim się zjawił niewidzialny z dala dół. O kilkanaście kroków z lewej, na skraju wąwozu, znalazła się kopica siana... Ja siedziałem w dole za krzaczkiem, a Szczur ukrył się w kopicy. Grabarz czatował w krzakach o kilkanaście kroków przed połączeniem brzegu lasu z wąwozem. W ten sposób utworzyliśmy sak, w rodzaju tamtego, który poprzednio urządziliśmy w pobliżu Gorani, łapiąc w niego przypadkiem, zamiast partii Hetmana, sześciu przemytników i przemytniczkę.

W godzinę po nadejściu poranka spostrzegłem wylaniających się z lasu, po drugiej stronie polany, ludzi. Szli pośpiesznie, starając się jak najprędzej przemierzyć otwartą przestrzeń. Wszyscy są w czarnych, krótkich kurtkach i długich butach. Przechodzą obok mej zasadzki i zbliżają się do krzaków w kącie polany. Widzę, że na spotkanie ich biegnie Grabarz. Powstańcy nie dostrzegli go w pierwszej chwili. Potem w osłupieniu stanęli. Rozległ się głos Grabarza:

— Ręce do góry!

Powstańcy rzucili się w lewo, gdzie z kopicy wyskoczył Szczur. W rękach miał rewolwery. Krzyknął do nich z bliska:

— Padnij, bo rzucę granat!

Runęli na ziemię.

— Ręce na krzyż! — krzyknął Grabarz.

Obmacałem ich: szukałem broni. Potem kazałem powstać i każdego dokładnie zrewidowałem. Worki ze skórkami, które nieśli, rzucałem na kupę. W tej partii byli sami tędzy, rośli mężczyźni.

— Dobrzy byliby żołnierze dla krasnej armii! — powiedziałem, rewidując ich.

Powstańcy pochlebnie zachichotali. Nagle z jednego końca partii posłyszałem głos Aliganta (dziwna rzecz, że nie dostrzegłem go wcześniej):

— Chło-o-pa-ki! To-oż to Szczu-ur!

Aligant wskazał palcem w kierunku Szczura, który stał o kilka kroków od kopicy. Z twarzy jego spadły źle przyklejone wąsy, więc natychmiast go poznano. Podbiegłem do Aliganta:

— Zamknij mordę, bo zaraz ci pokażę nie szczura, ale kota!



Aligant zaczął się cofać ode mnie, mówiąc płaczliwie:

— Panie... towarzyszu... Władku...

Zrewidowałem powstańców i puściłem. Przedtem powiedziałem:

— Oznajmijcie waszym chojrakom w Rakowie, że granica zamknięta! Że żadnej partii nie puszczę! Powiedzcie, że to za Kruczka i za Lorda, i za to, że się zadają z Alińczukami! Zrozumieliście?

Rozległy się głosy powstańców:

— Zrozumieliśmy.

Wówczas powiedziałem:

— No, to urywajcie! Biegiem, bo będę rąbał do was! Słonie, w nogi!

Wystrzeliłem kilka razy za nimi, tak aby nie trafić. A Grabarz krzyczał:

— Go-go-go! Trzymaj fartowców, żyganów, chojraków, cwaniaków!

Gdy później odnieśliśmy towar na melinę, Szczur powiedział:

— No, teraz i dla mnie kłapa. Całe miasteczko będzie wiedziało. Teraz i ja muszę iść na wystawę.

— Nic, poradzimy sobie! — rzekł Grabarz.

A po paru dniach urządzono polowanie na nas. Byliśmy w pewnej sprawie koło Mińska. W nocy zaczął lać deszcz. Do rana przeszliśmy z Lasów Archijerejskich do Lasu Starosielskiego. Zrobiliśmy dzieńwę w lesie, w pobliżu traktu, na siedemnastej wiorście do Mińska. Zmokliśmy do ostatniej nitki. Niedługo przed południem deszcz ustał i roznieciliśmy ognisko, aby się ogrzać i wysuszyć rzeczy. Dym mógł nas zdradzić, lecz nie zwracaliśmy na to uwagi. Czatowaliśmy kolejno i suszyliśmy rzeczy u ognia, do którego wrzucaliśmy duże polana ze złożonego w sągach drewna. W pewnym momencie w pobliżu naszej kryjówki przeszło dwóch pastuszków. Chłopcy zatrzymali się na chwilę zerkając ciekawie ku nam.

— No, czego tam? — krzyknął Grabarz. — Szorujcie dalej!

J. Giedroyc, *Autobiografia na cztery ręce*, rozdz. Rodzina, Warszawa: Czytelnik, 1994, s. 9–10.

Gdybym miał zwięźle scharakteryzować klimat domu moich rodziców, jako jego cechę szczególnie uderzającą wymieniałbym przede wszystkim wielką tolerancję. W domu było dużo książek — dwie wielkie szafy — głównie polskich, ale również francuskich i rosyjskich. Bardzo wcześnie zacząłem czytać, co przyszło mi bez trudu, tak że nawet nie pamiętam, kiedy i w jakich okolicznościach do tego doszło, a że jako dziecko byłem często chory, dużo leżałem w łóżku w pokoju bibliotecznym. Zbiór książek moich rodziców był zapewne przypadkowy, bardzo kresowy. Ale obok encyklopedii i wydawnictw patriotycznych — różnych druczków, takich jak np. Jeszcze Polska nie zginęła z zabawnymi rysunkami — była tam również literatura nowoczesna i sporo książek historycznych, które wywarły na mnie wielki wpływ. Pochłaniałem wtedy nieprawdopodobne ilości lektur, w tym wiele całkiem nieodpowiednich dla mego wieku: Tetmajera Pannę Mery i inne takie rzeczy. Budziło to przerażenie, gdyż, oczywiście, popisywałem się tym w rozmowach. Ale było tolerowane. Podobnie, gdy wróciłem z Moskwy, okazało się, że palę papierosy. To też było tolerowane, co uważam za bardzo rozsądne.

Tradycją rodzinną prawie się nie interesowałem. Zajmował się tym głównie ojciec, który miał różne dokumenty, album z fotografiami i dziewiętnastowieczne dagerotypy. Wszystko to uległo niestety zniszczeniu w czasie Powstania Warszawskiego, gdyż zostało zdeponowane przez mego brata Zygmunta w jakimś klasztorze, a pocziwej siostry ze strachu wszystko spaliły. Ojciec rzadko



rozmawiał ze mną o przeszłości rodziny, zapewne dlatego, że widział, jak mało mnie to interesuje.

Do 1919 roku moi rodzice mieszkali w Mińsku Litewskim. Rodzina była mocno zubożała. Majątki skończyły się wraz z pradziadkiem Lucjanem, oficerem gwardii w wojsku rosyjskim, który popełnił samobójstwo. Po jego śmierci, zgodnie z ówczesnym zwyczajem, zarząd mieniem objęła rada familijna, która roztrwoniła absolutnie wszystko, tak że mój dziadek został bez niczego, z jakimś maleńkim folwarczkiem koło Smiłowicz, w bardzo trudnych warunkach. Dlatego mój ojciec skończył studia farmaceutyczne i pracował jako aptekarz. Atmosfera w domu była dosyć kryzysowa, dosyć biedna. Zwłaszcza po powrocie do Polski przeżywaliśmy okres bardzo ciężki. Chodzenie do gimnazjum było wtedy dla mnie kłopotliwe, ponieważ było to gimnazjum im. Jana Zamoyskiego, bardzo dobre gimnazjum, gdzie zebrało się towarzystwo dość specjalne, skądinąd sympatyczne, ale w którym czułem się fatalnie po prostu ze względów materialnych, z powodu ubioru.

W Mińsku mieszkalem do 1916 roku. Jedną z moich ówczesnych zabaw z rówieśnikami było kładzenie się na torach, wzdłuż, rzecz jasna, tak by leżeć pod jadącym pociągiem, dając tym dowód odwagi. Ale ponieważ były to lata wojny, pasjonowało mnie wtedy zwłaszcza wojsko. Przez miasto przechodziły i zatrzymywały się w nim różne oddziały i tabory, niekiedy uderzająco egzotyczne, jak Czerkiesi. Kiedyś jacyś żołnierze, bardzo mili, pozwolili mi wsiąść na wóz i zabrali mnie ze sobą; odnaleziono mnie już kilkanaście kilometrów za Mińskiem i odstawiono do domu, nie zważając na moje protesty. W Mińszczyźnie stacjonowało też wojsko polskie, tj. korpus Dowbora; służyło w nim wielu znajomych i krewnych, którzy bywali w domu i których często spotykałem. Dzięki nim zetknąłem się z legendą Piłsudskiego; jego drukowane portrety docierały i do Mińska, i do Moskwy, podobnie jak piosenki legionowe. Wtedy właśnie zaczęła się moja fascynacja postacią Piłsudskiego.

J. Czapski, *Na nieludzkiej ziemi*, rozdz. VII: *Wigilia*, Kraków: Wydawnictwo Znak, 2026, s. 130–132.

Jacek był rzeźbiarzem, chciałbym kiedyś móc napisać więcej o tym człowieku, kto od dzieciństwa gorszył, drażnił i wzruszał. Nie znałem nikogo, który by był bardziej obojętny na opinię ludzką, wprost nie przychodziło mu na myśl, żeby można było się z nią liczyć, chodził oberwany i brudny, rzeźbił miesiącami jedną i tę samą rzeźbę, w międzyczasie nosił ciężary, budował znajomkom piece, co tylko było do zrobienia, robił, z tym samym przejęciem i dziwnym jednocześnie oderwaniem. Od niego pierwszego, dziecka prawie, posłyszałem po raz pierwszy:

Cieniu, czemu odjeżdżasz

Ręce złamawszy na pancerz...

Te strofy Norwida skandował półgłosem, dłubiąc w swojej glinie.

Tenże Jacek zjawił się raz w akademii krakowskiej w białych długich gaciach, z całą wygoloną głową i pozostawionym długim czubem, który mu się na czoło spuszczał, widział podobny ubiór i uczesanie na starym drzeworycie ukraińskim i wyjaśnił mi, że taki czub nazywa się osełedec i że tak się czesali i ubierali Ukraińcy przed paru wiekami. A Jacek przechodził wówczas okres pasji proukraińskiej. Kiedy go zbeształem, że robi z siebie widowisko i że wstyd mi z nim chodzić po mieście, uznał na dłuższy czas, że jestem zupełnie głupi, i przestał ze mną obcować.

Z rzeźbiarzy, których znałem w Polsce, nie pamiętam żadnego, który by miał takie czucie formy rzeźbiarskiej. Wtedy, dwadzieścia parę lat temu, przejmował się szczególnie zwierzętami. Jego syntetyczne rzeźby kotów, ptaków były godne rzeźb Brancusiego, którym się zresztą zachwycił, ale poza tym niektóre z jego późniejszych głów kobiecych, aktów nie ustępują chyba we wrażliwości i czujności formy rzeźbom najlepszych współczesnych Francuzów.



W 1923 roku Jacek wyruszył do Francji. Rodzina, która była w ciężkich warunkach materialnych, wynajęła mu pracownię tuż koło Place d'Alésia. Miał warunki do pracy. Ale niewiele czasu minęło, znalazł pod mostem starego Polaka w zniszczonym tabaczkowym, letnim palcie, wyszarżalym meloniku. Zaprosił go do pracowni na mieszkanie, potem odkrył poetę Chilijczyka, również w nędzy, i pomieścił go także u siebie, tłumacząc mu *Wesele* Wyspiańskiego, na którym się pono Chilijczyk zachwycał. Na trzeciego wziął jeszcze dużego psa przybłądę. Przyjechała matka, kupiła mu ciepłe palto, już po paru dniach chodził po mrozie, szczękając zębami – palto komuś oddał. Bardzo stara stróżka, kosooka, wyglądała jak kura, z kaprawymi oczami, mieszkała w okropnej ciemnej klitce, przy wejściu na podwórze, gdzie była m.in. pracownia Jacka. Jacek mówił dobrze po francusku, był z każdym człowiekiem już nie uprzejmy, ale wprost braterski, i z początku oczarował staruszkę, ale już ci goście w jego pracowni zachowali jej sympatię, oddanie zaś palta przyjęła z oburzeniem: „Przyszedł jakiś oberwaniec i niech pan sobie wyobrazi, że wyszedł w nowiutkim płaszczu pana Jacka”.

Byłem wówczas również w Paryżu, na wiosnę zamieszkałem o kilkanaście kilometrów od miasta, w Châtillon, miałem pracownię i widok na cały Paryż. Nagle Jacek zaczął mnie często odwiedzać z ukochanym psem. Odchodził, tak samo jak przychodził – zawsze nieoczekiwanie. – Nie myśl, że przychodzę odwiedzać ciebie – powiedział mi pewnego razu – ale mój pies potrzebuje ruchu.

Był to rok, w którym Żeromski wydał *Przepióreczkę*. Jacek przeczytał *Przepióreczkę*, zapakował swoje manatki i w parę dni potem wrócił do Polski, miał dość Paryża.

Kilka miesięcy później opowiedziałem starej stróżce i właścicielce naszych pracowni na Rue d'Alésia, pani Lapersonne (obie z nieopisaną pogardą patrzyły na nas, tę bandę Polaków bez grosza, les saltimbanques), o losach Jacka. Miałem wiadomości, że po powrocie do kraju został wezwany do wojska.

„Przynajmniej w wojsku – dodawałem – będzie regularnie jadł i nie będzie głodował”.

„Pensez donc!” – zachnęły się obie kobiety – „pan rzeczywiście w to wierzy? On i w wojsku tak potrafi się urządzić, żeby swoją zupę innym oddawać”. W głosie ich czuć było prawdziwe zgorszenie (parę lat temu umarła stara stróżka i w nędznym sienniku w jej ciemnej klitce znaleziono duże pieniądze).

Taki był Jacek. Otóż 20 lat przed tą wilią w Buzułuku siedłem z nim po Plantach. Patrzałem na ten cisnący się tłum studentów w czapeczkach korporacyjnych, urzędników, Żydów w chałatach, nianie z wózkami, emerytów drzemących na ławeczkach między uniwersytetem a Grodzką i dławiła mnie, jak teraz w Buzułuku, niewiara w zdolność przemiany człowieka, w możliwość jego przemiany radykalnej.

„No i jakże naiwny był ten Słowacki – powiedziałem Jackowi z goryczą – żeby wierzyć, że:

Was, zjadaczy chleba, w aniołów przerobi...”

– popatrz tylko na ten tłum!”

„Wiesz – odpowiedział mi Jacek po namyśle – żeby jeden tylko się w anioła przerobił, to byśmy się wszyscy stali trochę inni”.

Kładąc się w zimnym pokoiku do lodowatego łóżka w tę trzecią Wigilię na obczyźnie (staruszka Anna Stiepanowna już mocno chrapała przez ścianę), wspomniałem z wdzięcznością Jacka na słonecznych Plantach.



J. Czapski, *Na nieludzkiej ziemi*, rozdz. XVIII: *Fortepian Szopena*, Kraków: Wydawnictwo Znak, 2026, s. 285–287.

Nie miałem wyobrażenia przed rokiem 1939, jak może być powszechna reakcja na naszych poetów i na Chopina w masie Polaków, jeżeli ci Polacy są uczuleni przez sypiące się na nich ciosy. Gdy mówię o reagowaniu powszechnym, myślę naturalnie o wierszach najczęściej deklamowanych, o balladach czy mazurkach najbardziej „ogranych”. Na każdym z ciężkich stopni wygnania, na każdym zakręcie naszej historii wracały one do nas, jakby pierwszy raz słyszane. Nie miało to przeważnie wiele wspólnego z przeżywaniem „czystym” sztuki estetów i wyznawców sztuki dla sztuki.

Tak Żydzi słyszą swoich proroków.

Dębione w szkołach strofy Mickiewicza, deklamowane sto razy na oficjalnych akademiach *Reduta Ordona* czy wiersz *Do matki Polki* powlekały się pokostem nudy, dla niejednego przestały wprost istnieć. Na pierwszej, znów niedozwolonej akademii, 11 listopada 1939, w obozie starobielskim słuchaliśmy ich w osłupieniu ze ściśniętym gardłem.

Widzę jeszcze te twarze blade, jakby stężałe młodych chłopaków; te łyzy dziecinne płynące na siwe brody ludzi od miesiąca zaledwie starych, kiedy w gmachu dawnej cerkwi starobielskiej na tle pięciu piętér prycz, piętér niskich jak skrzynki jedne na drugich ustawione, do których lokatorzy wczołgiwać się musieli jak psy, deklamował jeden z kolegów pod długim czarnym krzyżem zbitym z dwóch czarnych desek:

Nasz Odkupiciel dzieckiem w Nazarecie
piastował krzyżyk, na którym świat zbawił.
O Matko Polko, ja bym Twoje dziecię
przyszłemi jego zabawkami bawił.
Wcześniej mu ręce okręcaj łańcuchem,
do taczkowego każ zaprzęgać woza,
by przed katowskim nie zbladnął obuchem,
ani się spłonił na widok powroza.

Te wiersze ktoś wówczas na nowo uświęcił.

Por. Kwolek, wysoki, chudy młody człowiek, o ciemnej brodzie i dobrym zza okularów spojrzeniu, był komendantem tej największej i najludniejszej „sali” starobielskiej. On tam zorganizował akademię, on zawiesił czarny krzyż wśród prycz. Oderwany od nas, natychmiast po akademii wywieziony do dalekiej kopalni za kręgiem polarnym, zmarł tam w 1941 roku „do taczkowego zaprzęgnięty woza”.

W tym samym obozie starobielskim, gdyśmy brnęli po śniegu z wiadrami zupy dla kolegów albo dźwigali belki, nagle w twarz rzuciło nam chrypiące radio strzępy *Etiudy rewolucyjnej*, *Poloneza As-dur* i zdawało się nam, jakby ta muzyka docierała tu tylko dla nas, tylko przez nas tu tajnie usłyszana, że nam na pomoc została napisana, byśmy się na nowo odnaleźli poprzez tę scalającą nas wszystkich jedyną wibrację i jedyny rytm.

Słyszałem w Uzbekistanie, jak mały chłopiec, zesłany od dwóch blisko lat z matką na głodny kołchoz, deklamował piskliwym głosikiem: „a kiedy trzeba na śmierć idą po kolei”. Mamusia dumnie spoglądała na synka, którego aż w Azji tego wiersza nauczyła, nie zdaje mi się, by sobie wyobrażała, ile te wiersze kryją niebezpieczeństwa dla dziecka, by przeczuwała, że ten wiersz zabrzmi mu w pewnej chwili jak nakaz, tak jak przemawiał do tysięcy niedorostków, którzy poza tymi paru wierszami wyuczonymi w dzieciństwie na pamięć niewiele mieli wspólnego z poezją.



Nie tylko Mickiewicz czy nawet Słowacki, te ich wiersze, które zna każde polskie dziecko, ale nawet „ciemny” Norwid, karcony przez Krasińskiego i Cieszkowskiego za niezrozumiałstwo, właśnie w te lata wojny i wygnania objawił się nagle takim ludziom, którzy go ledwo znali z imienia. Kiedy w „Orle” zrobiliśmy numer poświęcony Warszawie, nie umiałem znaleźć innego motta jak strofę Norwidowską:

z bruku twego radbym mieć kamień
na którym krew i łza nie świecą.

Zaledwie wypuszczeni z obozów, słuchaliśmy w zbitym tłumie w zimnej sali sztabu w Buzułuku Domańskiej. Późniejsza twórczyni naszego teatru dramatycznego w Iraku, smukła, o jasnych włosach młoda kobieta deklamowała dźwięcznym, niskim głosem o niezapomnianym akcencie Fortepian Szopena:

Gmach zajął się ogniem, przygaśł znów,
Zapłonął znowu – i oto – pod ścianę
Widzę czoła ożałobionych wdów
Kolbami pchane –
I znów widzę, acz dymem oślepian,
Jak przed ganku kolumny
Sprzęt podobny do trumny
Wydźwigają... runął... runął – Twój fortepian!

J. Czapski, *Na niehumanitarnej ziemi, rozdz. I: Na wolności*, Kraków: Wydawnictwo Znak, 2026, s. 57–59.

Idziemy żołnierskim krokiem, śpiewamy bardzo głośno żołnierskie polskie piosenki, humory świetne pomimo deszczu. Dochodzimy do stacji. Każą nam obejść zabudowania stacyjne. Idziemy przez zalaną wodą łączkę na peron, tam ustawiają nas w kolumnę według cyfr wagonów, do których jesteśmy przeznaczeni, i każą czekać. Deszcz już teraz leje, humory mniej entuzjastyczne.

Nasze dowództwo uwierzyło bolszewikom, że wagony są już w drodze z Wołogdy, tymczasem wagonów nie ma, nadejdą dopiero na drugi dzień nad ranem. O tym, żeby porozmieszczać tysiąc siedmiuset ludzi po domach, nie ma mowy; w gmachu stacyjnym nie zmieści się więcej niż kilkudziesięciu. Dowództwo się nie pokazuje i tak w lejący jak z cebra zimny deszcz czekamy, stojąc czwórkami, aż do drugiej czy trzeciej rano.

Przedemną jeden oficer kładzie się w kałuży i w żaden sposób nie można go zmusić do wstania. Coraz to wołanie: „Podać dalej – lekarza! Zachorował któryś z wagonu 115, 118 itd.”

Kilku zemdłało.

Koło drugiej karność zaczyna pękać, na początku pojedynczo wymykają się, szukając ratunku od deszczu, potem nagle cała kolumna rozpryskuje się i na własną rękę szuka schronienia od deszczu. Deszcz mi się leje wszędzie, za kołnierz i w buty, całe ciało mokre, furażerka jak gąbka. Pomimo własnej opłakanej sytuacji obserwuję śmieszne sceny: dwóch nieszczęśników szybkim desperackim krokiem chodzi tam i z powrotem, trzymając nad głową łopoczący żagiel – absolutnie przemoczono prześcieradło.

Stajemy z paru kolegami pod chudym okapem na jakie pół godziny, potem przeciskamy się do pustego wagonu towarowego na bocznym torze i tam przeczekujemy do piątej rano. Po wdrapaniu się do ciemnego wnętrza wagonu, coraz to rozświetlanego zapalką (zapalka drogocenna, jest ich mało i przeważnie przemoczona), spotykam Gniewosza. Jako dziecko jeszcze uciekł w 1939 r. do wojska,



dwa lata obozu nie zmąciły ani na chwilę jego postawy, naprawdę dobrze wychowanego, pilnie się uczącego, na nic się nieskarżącego chłopca. Ma obwiązaną głowę ręcznikiem i ciemne, długie czarne kosmyki wysuwające mu się koło uszu jak pejsy, czarne oczka jak paciorki na bardzo białej, prawie dziecięcej twarzy. W błysku zapalek robi wrażenie jakiegoś ucznia szkoły rabinackiej.

W ciemnej norze wagonu, zapchanego nie wiadomo kim i nie wiadomo czym, daje mi zwykłym towarzysko-uprzejmym głosem świetną radę – bym wyciągnął sweter z plecaka i nałożył pod mokrą koszulę. Z biedą, przy pomocy Gniewosza, wyciągam w ciemności z głębi worka mój sweter. Noszę go prawie bez przerwy od dwóch lat. Jest ciepły, wspinały, ze szwedzkiej wełny, niegdyś białej w czarne cętki – przysłali mi go w pierwszych tygodniach przyjaciele z Danii, w jednej paczce, która do mnie dotarła.

Na szczęście jest tylko wilgotny, to bardzo mnie rozgrzewa. Tymczasem wielki plusk, jakby kto dzbanek wody wylewał na ziemię: redaktor „Gazety Polskiej” Kleinert wylewa z butów wodę na podłogę i wyciska onuce. Wskutek tej metody brodzimy w rzadkim błocie. Przychodzi mi na myśl ustęp tylko co przeczytanej książki kolegi z Gрязовца, alpinisty Ostrowskiego, opis nocy na górze Dych-Tau w zawieję śnieżną na wąskim „balkonie” nad przepaścią, kiedy wchodzili na ten szczyt na Kaukazie. Ostatecznie ten wagon w porównaniu – to komfort. O piątej przechodzimy zmoczeni do nitki do naszych nareszcie nadeszłych wagonów.

Wyjście na wolność po dwóch latach. Z początku urok maszerowania błotnistą drogą, już poza drutami, przez biedne pola i biedne wsie. Chaty niemalowane, czarne. Potem ogarniające zmęczenie i smutek ciemnego, obdrapanego, martwego miasteczka, w błocie i deszczu, i te godziny czekania bez końca, zmarznięcie na kość na czarnej stacji w przenikliwy chłód i nieustającą lodowatą ulewę. To wszystko, co mi zostało w pamięci z pierwszych godzin wolności.

